GONIEC

Dziennik dla wszystkich.

Nr. 15. **Lwów 1887 r.** **Rok X.**

Wychodzi dwa razy na miesiąc. — Nadto, wszyscy prenumeratorowie „Gońca“ otrzymują bezpłatne dodatki, oraz czasopismo humorystyczne illustrowane „Iskra“. Prenumeratorom miejscowym wszystko odseła się do mieszkania.

Za odnoszenie dopłaca sie 5 *ct. miesięcznie* roznosicielowi.

Prenumerata „Gońca“ wynosi wraz z dodatkami i „Iskrą“:
tak we Lwowie, jak i na prowincji (z przes. poczt.):

rocznie	8 zł. — ct.
półrocznie	4 „ — „
kwartalnie	2 „ — „
miesięcznie	— „ 70 „

W Poznańskiem i Prusach, oraz w Niemczech 4 marek kwartalnie. — we Francji i we wszystkich innych krajach, oraz w Ameryce 5 fr. kwartalnie, które przesełać należy przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych.

Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych, stosownie do umowy.

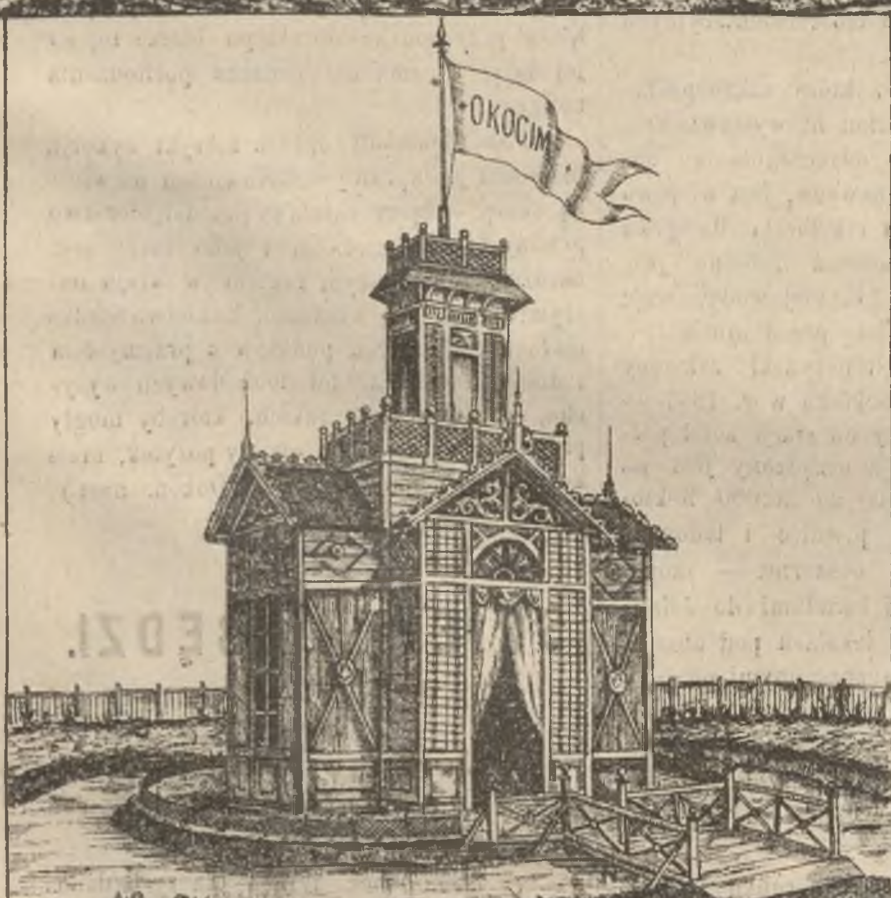
Redakcja i Administracja znajduje się we Lwowie, przy ulicy Ossolińskich l. 10 od frontu ul. Cichej, gdzie się przyjmuje prenumeratę, ogłoszenia. Prenumeratę przesełać należy przekazami pocztowymi, lub w listach pieniężnych franco pod adresem: Do Administracji „Gońca“ i „Iskry“ we Lwowie. — Listy powinny być frankowane.

Za granicą ogłoszenia przyjmują: w Wiedniu: Haasenstein et Vogler Wallfischgasse. A. Oppelik Stubenbastei, Rotter et Comp. I. Riemergasse 13, Daube et Comp. Maximilianstrasse 3; Berlinie, Wrocławiu, Hamburgu, Brunświku i Szwajcarji Haasenstein et Vogler; w Paryżu biuro anonsów pułkownika Raczkowskiego Foubourg Poissonier 32; w Peszcie ajencja ogłoszeń Langa. W Frankfurcie na M. Daube et Comp.

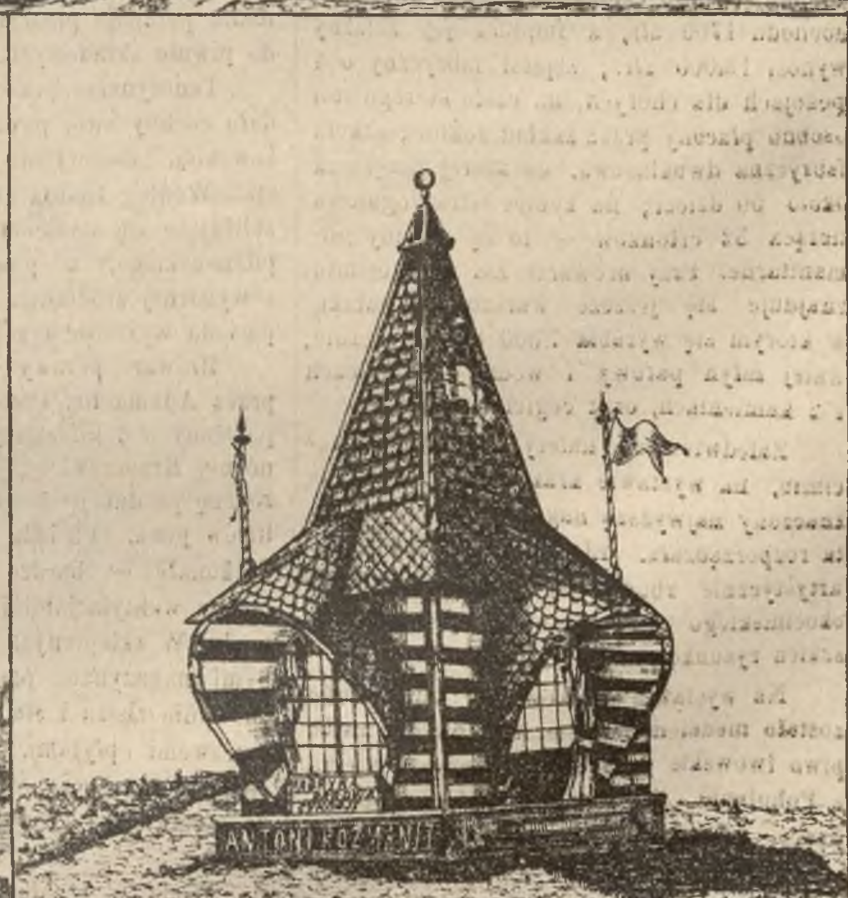
Właściciel i naczelnie kierujący częścią literacką i administracyjną: **M. D. Chamski.**

Pawilon główny na Wystawie krakowskiej 1887 r.





Pawilon browaru w Okocimiu na Wystawie krakowskiej 1887 r.



Pawilon fabryki cykorji Antoniego Rozmanita w Rakowicach na Wystawie krakowskiej 1887 r.

Szósty list o wystawie krakowskiej.

Przemysł „piwny", jeśli się tak wyrazić można, reprezentowany był na wystawie krakowskiej okazale — można też powiedzieć, bez przesady, że pod względem jakości i dobroci, piwa galicyjskie wśród ogólnego przemysłu browarnego, zajmują nie pośledne miejsce, a od piwa ciężkiego w Prusach szczególniej wyrabianego, piwa galicyjskie są daleko lepsze i zdrowsze.

Na czele tego przemysłu, stoi bez wątpienia browar w Okocimiu, z którego tak nazwane piwo okocimskie zyskało szeroki rozgłos w całym świecie, bo nawet na wystawie paryskiej w r. 1878 otrzymało list pochwalny, a na wystawie w Wrocławiu 1869 r. medal — nie wspominamy już o wystawie wiedeńskiej, na której dostała medal złoty i o innych wystawach krajowych, na których wszędzie wyrób piwa okocimskiego był honorowany, dyplomowany i medalowany. Browar w Okocimiu założony został w 1846 przez Jana Götza-Okocimskiego. Obecnie browar ten wyrabia przeszło 57.000 hektolitrów piwa rocznie. Drugi browar tego właściciela znajduje się w Krakowie na Podwalu i założony został w r. 1866 — wyrabia on piwo lżejsze, tak nazwane konkurencyjne piwo. Browar ten produkuje obecnie przeszło 13.000 hektolitrów piwa rocznie. Nakoniec jeszcze trzeci browar p. Götza-Okocimskiego znajduje się w Słotwinie i puszczony jest w dzierżawę od r. 1886 — produkuje on przeszło 10.000 hektolitrów piwa rocznie. Pan Jan Götz-Okocimski stoi na wybitnem stanowisku, nietylko, jako dzielny przemysłowiec ale jako człowiek i obywatel wzorowo spełnia obowiązki względem społeczeństwa polskiego. Dobroczynność tego zacnego człowieka znana jest powszechnie. Co tam cicha ręka na wszystkie strony daje, to wiedzieć trudno, bo się z tem rodzina Götz-Okocimskich nie chwali, ale dość spojrzeć na zakłady humanitarne znajdujące się w Okocimiu, aby się przekonać, jak właściciele tego wielkiego przedsiębiorstwa pojmują swoje obowiązki względem ludzi, z którymi wspólnie pracują. I tak w Okocimiu znajduje się kasa wsparcia i chorych obejmująca 196 członków, mająca rocznego dochodu 1700 złr, a fundusz jej żelazny wynosi 12.000 złr.; szpital fabryczny o 4 pokojach dla chorych, na czele którego stoi osobno płacony przez zakład doktor; szkoła fabryczna dwuklasowa, do której uczęszcza około 50 dzieci; na koniec straż ogniowa licząca 32 członków — to są zakłady humanitarne. Przy browarze zaś w Okocimiu znajduje się jeszcze warsztat bednarski, w którym się wyrabia 7.000 beczek rocznie, dalej młyn parowy i wodny o 4 walcach i 2 kamieniach, oraz cegielnia.

Zaledwie dodać należy, że browar z Okocimiu, na wystawie krakowskiej został odznaczony najwyższą nagrodą, jaką wystawa ta rozporządzała. Elegancki i prawdziwie artystycznie zbudowany pawilon browaru okocimskiego na wystawie, podajemy w szkicu rysunkowym.

Na wystawie krakowskiej odznaczone zostało medalem ministerstwa handlu nasze piwo lwowskie pochodzące z browaru Kleina z Pohulanki. Piwo z tego browaru pochodzące, odznacza się niepokalaną czystością i jest jedno z najzdrowszych do picia, a części pożywnych w sobie ma daleko więcej, jak wiele innych piw. Zakładowi temu należy się obszerniejsza wzmianka.

Browar ten założony został przez Jana Kleina w r. 1848 i był pierwszym we Lwowie, który zaczął wyrabiać piwo dolnej fermentacji. Do r. 1860 znajdował się pod zarządem Józefa Czackiego, potem aż do r. 1872 prowadził zarząd Jan Ploder. Od r. 1876 zarządzał przedsiębiorstwem najprzód p. Adolf Klein sam, a potem w spółce z Robertem Kleinem. W r. 1881 Adolf Klein umarł i od tego czasu na czele przedsiębiorstwa stoi sam p. Robert Klein. Browar Kleina wyrabiał dawniej rocznie 12.000 wiader, a obecnie wzrósł tak, że np. teraz w ciągu roku wyrabia i zbywa dwadzieścia kilka tysięcy wiader. Z początku wyrób piwa uskuteczniał się tylko za pomocą rąk ludzkich, od r. 1860 do r. 1873 poruszany był końmi, a od tego czasu już wszystkiego motorem w browcrze Kleina jest para. Obecnie browar ten w zimie zatrudnia 38 ludzi, w lecie 31.

Piwo z browaru Kleina znane jest powszechnie pod nazwą piwa lwowskiego — posiada ono szerokie uznanie i wielki zastęp odbiorców, a można powiedzieć bez przesady, że jest ono popularne bardzo w mieście i po za miastem. Znawcy i fachowi utrzymują, że piwo z browaru Kleina odznacza się przedewszystkiem nieobecnością wszelkich przypraw szkodliwych zdrowiu ludzkiemu, a przytem do fabrykacji tego piwa używaną jest wyborna woda. Gdy do tego dodamy, że właściciel browaru syn ś. p. Jana Kleina, obok fachowych i specjalnych wiadomości, jest obywatelem zażywającym powszechnego szacunku, we wszelkiego rodzaju interesach odznacza się skrupulatną rzetelnością, a w stosunkach z robotnikami rządzi się uczynnością i sercem, to każdy pojmie, że pod takiem kierownictwem, każdy zakład przemysłowy prosperować musi.

Piwnice składowe browaru na Pohulance mogą pomieścić 10.000 wiader— słodownie obejmują przestrzeni około 400 kw. sążni.

Maszyna parowa o sile 16 koni, porusza maszynę zacierną, pompę centrfugową, młynek do śrutowania słodu, elevatory, wyciągi, młynek do czyszczenia zboża, nadto pompuje piwo z izb fermentacyjnych do piwnic składowych.

Tenczyńskie piwo, które także posiadało osobny swój pawilon na wystawie krakowskiej, zaszczytnie odszczególnione zostało. Według zdania znawców, jest to piwo zbliżające się smakiem i kolorem do piwa pilzneńskiego, a ponieważ robione jest z wybornej źródlanej, górskiej wody, więc posiada wyższość i zaletę przed innemi.

Browar parowy tenczyński założony przez Adama hr. Potockiego w r. 1857 — położony o 2 kilometry od stacji kolei północnej Krzeszowice, a urządzony jest na roczną produkcję 25.000 do 30.000 hektolitrów piwa. Posiada piwnice i lodownie doskonałe — bardzo obszerne — zaopatrzony wentylacjami i kanałami do ścieku wody. W sklepionych lokalach pod obszernymi magazynami przeznaczonymi na przechowanie zboża i słodu, urządzone są marmurowemi płytami, wyłożone zrostownie słodu — osobno zaś dwie susznie. Młynki do szrutowania i czyszczenia są parą poruszane.

Woda w wybranym gatunku i obfitej ilością sprowadzana jest wodociągiem z górskich źródeł i własnem ciśnieniem dochodz do wszystkich miejscowości fabrycznych na każde piętro.

Obecnym właścicielem browaru tenczyńskiego jest bank galicyjski dla handlu i przemysłu w Krakowie, który nie żałuje nakładów i z godną uznania wytrwałością stara się wyrób krajowego piwa zrównać w dobroci z wyrobami pierwszorzędnych browarów czeskich; bowiem piwo tenczyńskie, jak wyżej powiedzieliśmy zbliżone jest zupełnie kolorem i smakiem do piwa pilzneńskiego.

Wspomnieć jeszcze należy o znanem piwie z renomowanego browaru krakowskiego Johnów, które także miało swój osobny pawilon na placu wystawy. Piwo Johnowskie ma bardzo wielu amatorów w Krakowie, oraz w okolicy jest bardzo popularne — u nas we Lwowie coraz więcej zyskuje konsumentów. Piwo z browaru Johna zostało nagrodzone na wystawie krakowskiej.

Podajemy pawilon z placu wystawy w Krakowie, fabryki cykorji i surogatów kawy, która się znajduje w Rakowicach pod Krakowem, a jest własnością pana Rozmanita. Że fabryka ta nagrodzoną została na wystawie krakowskiej — o tem zaledwie wspomnieć potrzeba, bo nie ulega wątpliwości, że taka fabryka, jaką jest fabryka cykorji w Rakowicach, nagrodzonaby została na wszystkich wystawach.

Rzeczywiście cykorję z tej fabryki pochodzącą, możnaby nazwać cykorją zdrowia — niema w niej nic, coby było szkodliwe dla zdrowia ludzkiego, a jest przy tem pożywną. Ktoś nawet powiedział, że chuda panna, gdy chce nabrać tuszy i zaokrąglić się, niech pije kawę z cykorją pana Rozmanita, a nabierze tuszy, zaokrągli się i w dodatku pójdzie za mąż...

Fabryka cykorji w Rakowicach w naszych przemysłowych stosunkach galicyjskich, które jak wiadomo nie są wesołe, zajmuje wybitne stanowisko i jest czynnikiem bardzo dodatnim, bo skutecznie wypiera daleko lichszą cykorję z zagranicznych fabryk. Dziś przekonywają się wszyscy, że cykorja z fabryki rakowickiej jest najlepszą i tańszą od zagranicznych. Kupców i właścicieli handli korzennych, jest obowiązkiem, aby cykorji tej dawali pierwszeństwo i, aby informowali tę część publiczności kupującej która przychodząc do sklepu bierze to, co jej dają, a sama nie oznacza pochodzenia towaru.

Pan Rozmanit oprócz fabryki cykorji, prowadzi jej uprawę w Rakowicach na wielką skalę — łączy zatem to przedsiębiorstwo przemysł z rolnictwem i jako takie jest bardzo pocieszającym faktem w kraju naszym, gdzie, jak wiadomo, rolnictwo bardzo mało ma stycznych punktów z przemysłem i dlatego wiele źródeł dochodowych wysycha, a wiele rzeczy takich, któreby mogły przynosić zysk duży i ogólny pożytek, idzie kul wo i po omacku. (Dokoń. nast.)

SPIEW ŁABĘDZI.

NOWELLA

przez

Jerzego Ohneta.

Przekład z francuskiego.

Dokończenie. — Patrz № 14.

— Steniu mój, trzeba dla tych dzieci uczynić więcej, niż uczyniłeś teraz.. Wiem

że ci to przykrość sprawi, ale proszę w imię aniołka, któregośmy stracili... bo zdaje mi się, że ucieszy się on w niebie, widząc naże współczucie dla osieroconych dzieci...

I opadłszy bezwładnie na poduszki, głośno zapłakała.

— Mery!

Przerażeni, Stenio i Daisy pochylili się ku niej.

— Uczynię co zechcesz! — zawołał Marakczy — wszystko, co tylko jest w mojej mocy, ale, na miłość boską! uspokój się, jedyna moja!.. Do czegoż nie byłbym zdolnym, gdybyś ty tego chciała?... A to przecież nie przedstawia trudności niepodobnych do usunięcia; pokonam moją niechęć, znękanie...

Suchy kaszel Mery przer wał mu mowę Czerwone plamy, wywołane wysileniem, wystąpiły na jej policzki. Uspokoiwszy się, rzekła, ściskając dłoń jego:

— Dziękuję ci, drogi Steniu.

Czas jakiś milczała zamyślona, poczem mówiła z gorączkowem ożywieniem:

— Słuchaj, mój jedyny, nietylko dla tych biednych dzieci, ale i dla mnie grać będziesz... już tak dawno cię nie słyszałam... Oh! wiem co mi powiesz: będę grał dla ciebie jednej, wyprawię ci uroczystość muzyczną, o jaką od roku już daremnie dopraszają się dwory i książęta... Ale ja nie tak chcę cię słyszeć.. nie!.. lecz wśród oklasków i głośnych braw oczarowanych słuchaczów, jak owego wieczora, w którym widziałam cię po raz pierwszy... Przypomni mi to szczęśliwą epokę mego życia, kiedy byłam tak pełna sił i nadziei, kiedy wszystko mi się uśmiechało...

Atak suchego kaszlu nie dozwolił jej mówić więcej. Stenio pochylił się i ujmując wychudłe ręce żony, rzekł czule:

— Przestań mówić, aniele mój, błagam cię! męczy cię to zbytecznie... Zrobię, jak chcesz, stokroć szczęśliwy, jeżeli, choćby ceną największych usiłowań zdołam zapewnić ci chwilkę przyjemności.

Spojrzała na niego z niewysłowionem uczuciem, anielski uśmiech zawitał na blade usta i zasnęła lekko, trzymając rękę Stenia.

VII.

Kwiat wyborowego towarzystwa i co tylko było w Dieppe dyletantów i ciekawych, zapełniło po brzegi salę koncertową. Było w niej strasznie gorąco; kobiety ubrane balowo, z kwiatami we włosach, poruszały wachlarzami, których żywe barwy, migające się od światła, wydawały się jakby skrzydłami wielkich motyli.

Księżna siedziała w pierwszym rzędzie. Wszyscy składali jej hołdy, jako tej, która jedna zdołała nakłonić Marakczego do wystąpienia.

Od dwóch już dni Mery została przeniesiona do apartamentu hotelu Des Bains chauds, który zajmowała Daisy, i zdawało się, że odzyskuje zdrowie na samą myśl tryumfów oczekujących Stenia. Nawet doktorowie śmieli prawie przypuszczać możliwość wyzdrowienia. Dnia tego spróbowała przejść się po pokoju. Wieczorem ustawiono dla niej szezlong po za estradą; spoczywając na nim, niewidzialną obecnością swoją dodawała ducha mężowi, a zarazem urzeczywistniło się jej marzenie: była świadkiem jego tryumfu.

Rzeczywiście wielkiego artystę czekał tryumf, jakiemu równego nikt jeszcze nie osiągnął. Od chwili, gdy blady i natchniony ukazał się na estradzie i ozwały się pierwsze tony z pod jego czarodziejskiego smyczka, uniesienie publiczności nie znało granic. Szmer uwielbienia przejmował wszystkich jakimś rozkosznym dreszczem; po każdym odegranym ustępie rozlegały się szalone oklaski i okrzyki.

Nigdy jeszcze Stenio nie grał z taką namiętnością, z tak gorączkowym zapałem; owładnęła go jakby nadziemska siła, jakiś rodzaj opętania.

W saloniku po za estradą była Mery i Daisy. Pierwsze zaraz takty nader silne na chorej wywarły wrażenie. Uczuła duszenie w gardle, oddech stał się tak ciężkim, iż Daisy przestraszyła się bardzo. Przeszło to jednak powoli; jakiś niewysłowiony spokój zaległ duszę młodej kobiety, zdało jej się, że rozpływa się w orzeźwiających falach melodji. I mogła rozkoszować się tym cudownym talentem, który, choć w obec tysiąca widzów, przecież dla niej wyłącznie się roztaczał...

— Mery! Mery! — zawołała nagle Daisy — tak okropnie jesteś blada, musisz strasznie cierpieć.

— Nie, ale czuję, że was opuszczę... Przed chwilą widziałam mego aniołka, który przyzywał mnie do siebie... Już czas... Stenio czuje to i odgaduje: czy słyszysz, co gra?...

Grał *Śpiew łabędzi* z jego smutnemi melodjami, odgłosem dzwonów żałobnych i kroków pogrzebowego orszaku, odbijających się o kamienną posadzkę kościoła. Pomimo coraz większego ubezwładnienia, Mery, podtrzymywana geniuszem ukochanego, wsłuchywała się jeszcze w porywające dźwięki, uprzytomniające jej własny pogrzeb. Żyła już tylko słuchem; zachwycenie trzymało śmierć w zawieszeniu.

— Czy mam go przywołać? — spytała przerażona Daisy.

— O! nie, niech go słyszę jeszcze! — wyszeptała, zbierając ostatnie siły, aby nie utracić, ani jednej nuty tej żałobnej pieśni.

Zachwyt zabłysł w jej oczach, wyszeptała ledwie dosłyszanym głosem:

— Ach! umrzeć tak, słuchając go!

— Mery droga!... O! Boże mój, Boże!

Umierająca opuściła głowę na ramiona siostry; śmiertelna bladość twarz jej pokryła, wzrok stawał się nieruchomym, głos prawie tchnieniem.

— Rozpacz miota duszą na myśl, że muszę go opuścić... tak go kocham... ach! jak on strasznie będzie cierpiał!...

Daisy chciała biedz do drzwi, aby przywołać Stenia, Mery przytrzymała ją słabnącą ręką. W sali rozległy się szalone oklaski i okrzyki. Tysiące ust wołało: bravo! tupano nogami w szale uniesienia, a po nad tą wrzawą rozlegało się nazwisko zagłuszające wszystko: Marakczy!

Oczy Mery przelotnym zabłysnęły ogniem, uśmiech dumy twarz rozjaśnił... Uniosła się nadludzką podźwignięta siłą, wyciągając ręce do Stenia, który wchodził, uginając się pod ciężarem wieńców i bukietów. Złożył je na łonie ukochanej i zginając kolano, zdawał się składać jej w hołdzie swoją chwałę i tryumfy.

Zdołała jeszcze położyć rękę na jego pochylonem ku niej, promieniejącem natchnieniem czole i pochyliwszy się, złożyła na niem ostatni pocałunek. Stenio usłyszał wyszeptane zaledwie: jestem szczęśliwa! i uczuł lekkie tchnienie przesuwające się po jego twarzy. Głośny krzyk wydarł się z jego piersi; zagłuszyły go na chwilę tylko powstrzymane przywoływania, okrzyki i oklaski.

Mery wydała ostatnie tchnienie, upojona tryumfami i uwielbieniem, jakie obudzał wielki artysta.

VIII.

We dwa dni później, około godziny czwartej, jacht lorda Mellivana wypłynął z portu na pełne morze, ze zwiniętą flagą; na tyle statku powiewała czarna chorągiew. W tym samym salonie, gdzie Stenio przyrzekł oddać umarłą córkę ojcu, któremu zabrał ją żywą, Daisy i Harriet płakały przy trumnie otoczonej światłem i pokrytej kwiatami.

Statek płynął wolno, jakby rozżalony, że przewozi trumnę. Nieruchoma i milcząca załoga zgromadziła się na pomoście. Stojący na wybrzeżu odkryli głowy. Morze było spokojne i gładkie, jak jezioro; zdawać się mogło, że pragnie, jak nałagodniej kołysać Mery, w ostatnim śnie pogrążoną.

Jak tylko wypłynął z portu, niewielka łódź wysunęła się tuż za nim i dostawszy się na pełne morze, płynęła jego śladem. Dwóch tylko mężczyzn znajdowało się na niej: rybak wiosłujący zawzięcie, gdyż brak wiatru nie nadymał jego żagli, i siedzący na przodzie całkiem czarno ubrany pasażer, z głową wspartą na dłoni. Głuchy szmer rozległ się w tłumie zebranym na wybrzeżu, setki ust zawołały: „Marakczy!“ I powtórnie, jak gdyby przed drugim zmarłym, wszyscy odkryli głowy.

Stenio nic nie widział i nie słyszał; wszystko co go otaczało, nie istniało dla niego. Utkwił oczy w jacht unoszący co miał najdroższego na świecie i płynął za nim nie wiedząc gdzie, jak gdyby jakiś niewidzialny węzeł przykuł go do tego żałobnego statku, którego każde posunięcie łamało mu serce. Powoli zwiększała się odległość dzieląca łódź od jachtu. Jakby wielki ptak morski, który lecąc z rozwiniętemi skrzydłami lekko tylko muska niem po wód powierzchni, statek szybko się oddalał. Wtedy Marakczy stanął, aby go lepiej widzieć, wysoka jego postać zarysowała się na horyzoncie, ze skrzypcami w ręku.

I z gołą głową, wśród niezmierzonej morza przestrzeni, zaczął grać, jakby myśląc, że umarła może go słyszeć. Powietrze tak było spokojne, iż grę jego doskonale można było słyszeć na wybrzeżu. Czysty, wzniosły, jak modlitwa *Śpiew łabędzi*, rozległ się po nad falami i uniósł ku niebu.

Nigdy pożegnanie tej ziemi nie zabrzmiało tak bolesną, przejmującą nutą; nie skrzypce, ale serce Stenia płakało. Jego boleść, rozpacz, łkania wstrząsające całą jego istotą, dźwięczały w rozdzierających serce tonach.

Jacht przyspieszył biegu i tylko już dym unoszący się nad nim widać było z oddali. Wioślarz słuchał z roztargnieniem, wiosłując z całych sił. Patrzącym z lądu łódź wydawała się już tylko małym czarnym punkcikiem. Stenio grał ciągle, z oczami wlepionemi w jacht znikający w przestrzeni. W tem nawet cień i dym jego znikły w niedostrzeżonej oddali.

Nagle, wydawszy jakby rozpaczliwe łkanie, skrzypce ucichły i tylko miarowe uderzanie wioseł o wodę rozlegało się w posępnem milczeniu.

Zadziwiony rybak odwrócił głowę. Na przodzie łodzi nie było nikogo, na powierzchni fal nic widać nie było. Przerażony zaczął wołać, nikt nie odpowiedział; wtedy wolno zawrócił do portu.

Nie znaleziono ciała Stenia. Pewnie przyjazny prąd uniósł wielkiego artystę ku owym błękitnym grotom, przy wejściu do których milkną wzburzone fale i, gdzie w niezmierzonych głębiach morza nadziemskie syreny śpiewają hymn wiecznego szczęścia.

K O N I E C.

Z zapytaniem.

Do p. K. L.

Kiedy wiatr na dworze huczy
I śnieg mokry w okna dzwoni,
A samotność tak dokuczy,
Że aż oko łzę uroni —
Wtedy myśl ma pędem leci
W znane miejsce jak szalona,
Z zapytaniem wśród zamieci,
Czy też jeszcze kocha ona?...

A gdy słońce swe promienie
W mroźny dzień jaskrawo rzuca,
To ucieka gdzieś zwątpienie,
Co mnie męczy i zasmuca.
Wpatrując się w śniegu białość
Widzę w nim jej duszy wnętrze —
Wtedy wielbię jej wytrwałość
I uczucia przenajświętsze...

Bol. Sch. Wol.

Teatr.

Oprócz jedynej jednoaktówki tłómaczonej p. t. „Woltyżerka", nic z nowości nie mamy do zanotowania do dzisiejszego numeru. Sezon przedświąteczny, rybny, zaczyna oddziaływać i na atmosferę teatralną.. Co do tej „Woltyżerki", to jest to jedna z tych efemeryd scenicznych, z któremi nie liczą się, ani występujący w niej aktorzy, ani krytyka, ani nawet dyrekcja.. Tego rodzaju roboty służą, albo do zapychania dziury, albo gra się je wtedy, kiedy się nie ma co innego do grania. Tyle o „Woltyżerce." O „Nowym dzienniku" p. Bałuckiego w „Iskrze".

Z operą do tego czasu nie jesteśmy jeszcze w porządku, sądzimy jednak, że da się to uskutecznić. Zawód dyrekcji zrobiła pani Silwa, która przybywszy do Lwowa, tak się rozchorowała na gardło, że po paru występach opuścić musiała scenę i Lwów.

Panna Porthówna po raz drugi wystąpiła w „Żydówce", śpiewając partję Racheli. W obec tego, cośmy napisali o pierwszym występie tej debiutantki w „Fauście", jakkolwiek partja Racheli dśpiewana była lepiej, wstrzymujemy się d stanowczego zdania i zaczekamy na dalsze występy — tu tylko nadmieniamy. że ten drugi występ panny Porthówny nie obudził w nas różowych nadziei... Daj Boże, byśmy się mylili.., poczekamy w c. O występie trzecim w „Baronie cygańskim skrze„e".

Wystąpił w „Żydówce", jako gość, pan Kamiński — niegdyś tenor europejskiej sławy. Śpiewał partję Eleazara. Partja ta nigdy nie należała do takich głosów, jakim w najświetniejszych swoich czasach rozporządzał p. Kamiński—dziś bezwarunkowo nie może być przez niego śpiewana. P. Kamiński jest tenorem Wagnerowskim par excellence jako taki też w Niemczech się sławił— widać to itcraz i wwysokich tonach, które zawsze były jego silną stroną, a dziś jeszcze przypominają świetne czasy. P. Kamiński jest już obecnie ruiną, ale ruiną, na której pozostały ślady pięknej przeszłości i na której nieraz z większą przyjemnością oko znawcy spoczywa, jak na wiele wymuskanych pałacykach, które nigdy ruiną nie będą, bo się od razu w proch rozsypią...

Od kilku tygodni krążyła w sferach teatralnych pogłoska, że panna Praun, dotychczas występująca z powodzeniem w operetce, porzuca lekką muzę i przechodzi do dramatu. O ile wiemy, przejście to spowodowane zostało głównie względami zdrowia, mianowicie nadwyrężenie wiązadeł gardłowych, wynikłe z powodu nadmiernego występowania podczas bytności operetki naszej w Krakowie, skłoniły lekarza do stanowczej rady, aby panna Praun na dłuższy przeciąg czasu przestała śpiewać, jeśli się nie chce narazić na gorsze następstwa. Nie wątpimy, że dramat pozyska dobrą siłę w osobie panny Praun, bo już w operetce można było zauważyć, że p. P. należy do tych nielicznych wyjątków operetkowych, które poprawnie i z pojęciem mówią i wyraziście grają. Abyśmy jednak mogli coś stanowczego powiedzieć o rodzaju dramatycznego talentu p. P., która zresztą jest młodą i bardzo dużo jeszcze nauczyć się może, musimy ją widzieć w kilku różnych rolach— dlatego też zaznaczając, że pierwszy debiut p. P. nastąpił w komedji Fredry (ojca) p. t. „Wielki człowiek do małych interesów", w roli Matyldy, obszerniejszą i stanowczą ocenę, uważamy sobie nawet za obowiązek dziennikarski zostawić na poźniej, abyśmy się mogli dokładnie przyjrzeć młodemu talentowi ze wszystkich stron i odnaleść w nim wszelkie właściwości.

W Noc Maskaradową.

Powieść z francuskiego

przez

AUTORA „STAROŚCI LECOQU'A".

(Ciąg dalszy. Patrz Nr. 14.)

— Pani!. — zawołał, prędko podjeżdżając do powozu — pani tutaj?

— Nie spodziewałam się, że pana spotkam — szepnęła Berta, ledwie dosłyszalnie.

— Nareszcie panią widzę! Nareszcie pani wolna.

— Wolna...

Młodzi ludzie wpatrzeni w siebie, nie widząc nikogo rozmawiali chwilę. Gaston nie tając swej miłości oświadczył Bercie, że kocha ją zawsze jednakowo, wierzy w jej niewinność i pragnie ją poślubić.

Czas ubiegał szybko. Panna Letereuil postanowiła jechać do siebie na ulicę Pouthier, co też uczyniła pożegnawszy się z Gastonem.

Na widok tego mieszkania skromnego, w którem spędziła tyle szczęśliwych godzin, Berta mimowolnie zapłakała.

Gruba warstwa kurzu pokrywała meble, kwiatki powiędły, fortepian stał otwarty i Berta zbladła, poznawszy nuty, „arję Martigny'ego", tę samą, którą śpiewała ostatniego wieczoru przy akompaniamencie Gastona.

Po smutnym wieczorze u pani Cambry, Berta często przypominała sobie tę arję proroczą.

I teraz widziała w niej znak, zesłany jej od Boga, ażeby przygotować ją do nowej niedoli. Nie miała jednak czasu zastanowić się nad tą smutną myślą, gdyż ozwał się dzwonek.

Pobiegła otworzyć i znalazła się w objęciach pani Cambry.

W ciągu minut kilku tylko się całowały.

Berta ledwie oddychać mogła ze wzruszenia, a piękna wdówka niemniej była wzruszoną.

— Nareszcie widzę cię! — rzekła czule.

— O, bardzo jestem szczęśliwa, bo ani na chwilę nie przestawałam myśleć o tobie.

Pani Cambry okazywała tyle przywiązania, tyle serdeczności, że Berta do głębi serca czuła się wzruszoną — ta przyjaźń była dla niej tem cenniejszą, że właśnie miała jej dowody wtenczas, gdy zdawało jej się, że jest od wszystkich opuszczoną. Rozmawiały też dwie przyjaciółki długo i niejedno zwierzenie wyszło z ust Berty — przyznała się, że była w loży Dorcival, aby odebrać listy, które nie od niej pochodziły, ale które potępiały inną drogą jej osobę. Sztylet, mówiła dalej Berta, miała w ręku, gdy weszła do loży. Zwrócił uwagę pani Dorcival i prosiła, ażeby jej go podarowała.

Opowiadanie to wzruszyło bardzo pannę Letereuil — przypomniało jej się wszystko, co przecierpiała i co ją jeszcze w przyszłości czeka. Postanowiła też natychmiast odwiedzić siostrę, a p. Cambry oświadczyła, że będzie jej towarzyszyć.

W drodze pani Cambry wypytywała ją szczegółowo o Crossonna, o jego przeszłość i charakter, mówiąc, że chce go poznać z opowiadania, ażeby w rozmowie nie popełnić żadnego błędu.

Można sobie wyobrazić radość pani Crosonne, gdy posłyszała głos tak ukochany w przedpokoju. Krzyknęła na widok Berty i rzuciła się w objęcia, pokrywając ją pocałunkami, Siostry płakały z radości, a kapitan śmiał się, klaszcząc w dłonie, jak dziecko. Berta z trudnością wyrwała się z uścisków krewnych, aby przedstawić im swą wspaniałomyślną opiekunkę.

Crosonne zapomniał o wszelkich podejrzeniach, które go tak niedawno prześladowały — myślał tylko nad tem, jak osłonić Bertę przed knowaniem łotrów, których chciał wykryć koniecznie. Gdy tak zajęci sobą, rozmawiali serdecznie i bez przymusu, w przedpokoju odezwał się dzwonek. Po chwili usłyszano głos kobiecy — do pokoju weszła otyła baba, trzymająca na ręku śpiące dziecko i podeszła wprost ku Bercie. Marynarz, jak zwierz dziki, rzucił się ku kobiecie — wszystkie jego podejrzenia uśpione chwilowo, zbudziły się znowu. Teraz był pewnym, że to dziecko, jest dzieckiem jego żony. Ta ostatnia nie mogąc się dłużej wstrzymać, zbliżyła twarz swoją do twarzy dziewczynki i dał się słyszeć cichy odgłos pocałunku.

— Nikczemna — krzyknął mąż, chwytając nóż ze stołu, tyś jest jej matką — zabiję was oboje.

Wtedy Berta rzuciła się ku niemu, ażeby sobą zasłonić biedne istoty, które szalony chciał ugodzić!

— Nie tykaj mego dziecka! — rzekła głosem stanowczym.

— Twego dziecka... — podchwycił Crosonne — i ty śmiesz mówić, że to dziecko...

— Ja jestem jego matką i potrafię go obronić.

Tyle było stanowczości w głosie Berty, że marynarz zachwiał się znowu w swych podejrzeniach i silnie był wzruszony. Berta korzystając z chwilowego milczenia, pożegnała siostrą i razem z panią Cambry, poprzedzona przez mamkę z dzieckiem, wyszła z mieszkania swej siostry. Dopiero, znalazłszy się w karecie, łzy siłą woli wstrzymywane, polały się obficie z ócz zacnej i poświęcającej się siostry.

— Przecie to nieprawda? — zapytała pani Cambry, tuląc ją w swych objęciach.

— Nie — szepnęła Berta — nie, zgubiona jestem, ale Matylda ocalona.

Kareta się zatrzymała, Berta wysiadła uściskawszy swą opiekunkę, aby powrócić do swego mieszkania.

— Mój Boże! — wyszeptała p. Cambry — daj szczęście tej szlachetnej kobiecie, ocal Matyldę, ocal jej dziecko a mnie zabierz życie.

Tymczasem kapitan Nointel, nie zaniedbywał poszukiwań i był na nowym tropie.

Tego samego dnia, kiedy Berta wypuszczoną została z więzienia odebrał list od przyjaciółki Julji p. Risler; wzywała go do siebie, gdyż miała mu coś ważnego do zakomunikowania. Pospieszył natychmiast i dowiedział się kilka nowych szczegółów, które mogły mu być przydatne. P. Risler tego dnia była na cmentarzu, na grobie Julji Dorcival. Gdy się zbliżała do mogiły, zobaczyła kobietę, — stała ona oparłszy się o sztachetki, twarz zakryła rękami i płakała, sztraszliwie płakała. W przekonaniu p. Risler, była to zbrodniarka. Po chwili przestała płakać — podniosła głowę, była prześliczną blondynką, bardzo biała z oczami ciemnemi, nosek maleńki, usta drobne, mina księżnej.

Kapitan był uszczęśliwiony — najmniejsza wątpliwość nie zasępiła mu spokoju. Zabójczynią była oczywiście ta blondynka, która płakała nad mogiłą.

Nointel w doskonałym humorze, postanowił dzisiejszy wieczór przepędzić w teatrze. Przyszedł w czasie antraktu i zaczął oglądać loże — najpierw rzuciła mu się w oczy siedząca w loży pierwszego piętra Klotylda Risler, wraz ze swym rumunem. Dalej zobaczył Rogera Darcy, w loży z panią Cambry. Nointel po raz pierwszy dopiero widział w teatrze piękną wdówkę. Zwracała powszechną uwagę swą urodą, wszyscy mężczyźni lornetowali ją ciekawie. Nointel postanowił udać się wprost do loży pani Combry, co też zaraz uczynił. Kilka chwil przeszło mu przyjemnie na rozmowie z piękną wdówką — gdy wyszedł zauważył że drzwi od loży Klotyldy, nawpół były tylko przymknięte, i że Klotylda nań czatuje.

— Więc ty ją znasz — spytała, gdy wszedł do loży.

— Kogo?

— No, tę blondynkę, która płakała na cmentarzu. Przesiedziałeś w jej loży cały antrakt.

— Zwarjowałaś?

— Nie udawaj, rozmawiałeś z nią ze dwadzieścia minut. Upewniam cię, że to ona; poznałam ją doskonale.

Nointel był zdziwiony, ale postanowił nie wierzyć Klotyldzie i wkrótce zapomniał o całej tej rozmowie. Udał się zaraz do klubu, gdzie spotkał się wkrótce z Gastonem Darcy. Przyjaciele zabrali się do serdecznej pogawędki, gdy lokaj zbliżył się do kapitana i wręczył mu list. Kapitan odprawił lokaja i rozerwał kopertę.

— A to nowina! — krzyknął. — Crosonne pisze do mnie, że żona jego umiera i wzywa mnie abym razem z tobą do niego przybywał.

Wyszli, wsiedli do czekającego powozu Darcy'ego i za kilka minut byli już na ulicy Comortin. Przyjaciele prędko dostali się na czwarte piętro, a gdy weszli do mieszkania, Crosonne rzucił się na szyję Nointelowi, wyciągnął rękę do Darcy'ego i rzekł tylko:

— Idźcie panowie prędzej. Za kilka minut będzie już zapóźno.

Znaleźli się w słabo oświetlonym pokoju.

Blada twarz chorej jeszcze bardziej się uwydatniała na ciemnem tle kotary łóżka.

Panna Leterenil klęczała i modliła się, zwiesiwszy głowę i ani spojrzała na przybyłych, ale umierająca podniosła głowę i odezwała się;

— Chodźcie, panowie, bliżej, i ty także — zwróciła się do męża.

Był jej posłuszny.

— Już pojednałam się z Bogiem — rzekła konająca. — Przed komunią, obiecałam wyspowiadać się ze swych grzechów. Chcę uprosić o przebaczenie męża, którego skrzywdziłam, i siostrę, która poświęciła dla mnie honor, a gotowa była nawet życie dać w ofierze. Tak, ja byłam winną i zdradziłam najlepszego z ludzi.

Głos jej się urwał, nastało grobowe milczenie.

— Nie żałuję życia — mówiła dalej, ale zanim stanę przed Bogiem, chcę, o ile możności, zatrzeć złe, które wyrządziłam. Z pokorą proszę męża, ażeby mi pozwolił całą prawdę pewiedzieć przy nim. Dziecko nie jest Berty, a moje jest. Ależ przecie ono niewinno, błagam cię, ulituj się nad niem!

Crosonne uczynił ruch, który wyrażał przebaczenie, a żona na niego spojrzała takim wzrokiem, że wzruszony był do głębi duszy.

— Córka moja żyć będzie! — wyrzekła. — I ja żyćbym chciała. Pokorą odkupiłam swą winę; niewolnicą bym ci była. Ale godziny moje policzone, tak Bóg chciał! Dziękuję Mu, że mi dał możność żałowania za grzechy i oczyszczenia siostry z podejrzeń. Sędziego śledczego nie ma tutaj ale krewny jego powtórzy mu wszystkie moje słowa. Powiedz mu pan, że umierając, na zbawienie swe przysięgam, że Berta niewinna, że nie popełniła zbrodni. Berta była na maskaradzie po moje listy, ale była tam krótko i wyszedłszy ztamtąd, pojechała do mamki mego dziecka. Berta była już daleko, kiedy zabitą została nieszczęśliwa Dorcivdl. Bóg ukarze mordercę, wierzajcie mi!... Niewinność Berty wyjdzie na jaw! ale kto jej powróci stracone szczęście? Kto ją obroni od oszczerstw?

— Ja, jeżeli się zgodzi zostać moją żoną! — żywo rzekł Darcy.

— Teraz mogę umrzeć — wyszeptała chora.

— Dziecko pani będzie naszem! — mówił dalej Darcy, drżącym ze wzruszenia głosem.

— Moje dziecko! Przyzna je pan za swoje?

— Przyrzekam pani!

— Niech Bóg panu błogosławi! Większej pociechy nie mogłam doczekać się na tym świecie! Modlić się za was będę, jeżeli Bóg mi przebaczy!

Umierająca zamilkła, siły ją opuściły Gotowa zwiesiła się jena poduszki, oczy zamknęły się, wargi szeptały bez związku jakieś słowa. Zaczełz się konanie.

— Chodźmy — szepnął do niego Nointel-do Gastona. — Chodźmy, tu nie nasze miejsce.

Ale Darcy się nie ruszał.

— Chodźmy — odezwał się i Crosonne a ująwszy ich za ręce, wyprowadził z pokoju.

— Uspokój się! — rzekł do niego kapitan.

— Ileż siły potrzeba mi było, ażeby wysłuchać to wszystko i jej przebaczyć,' nie żałuję jednak tego, com uczynił.

To mówiąc głowę podniósł, oczy mu błyszczały, a na twarzy znać było przeświadczenie o spełnionym obowiązku.

— Zacny z ciebie człowiek! — wyrzekł rzekł Nointel.'

— Dziękuję ci — po prostu rzekł marynarz. — W takiej chwili słowa pociechy szczerego przyjaciela wiele znaczą.

Dziękuję i panu. żeś wziął pod opiekę dziecko mej żony.

— Nie zabijesz go przecie! — odezwał się kapitan.

— Ani jego, ani jego matki, gdyby pozostała przy życiu! Jednegobym tylko chciał zabić!,..

— Nędznika, który pisywał do ciebie listy bezimienne? O, jego możesz zabić, teraz znam jego nazwisko!

— Nazwisko jego?... To powiedz mi je!..

— To hiszpan z Ameryki, podający się za generała peruwiańskiego Simankasa.

— Dobrze. Rad jestem, że to to nie francuz. Będziesz moim sekundantem. Bywaj zdrów!

Licytacja.

Nazajutrz rano kapitan Nointel wcześnie wyszedł z mieszkania i tak był zajęty swemi myślami, że ani spostrzegł, jak doszedł do Łuku tryumfalnego. Nie zdziwił się wcale i nawet miał ochotę przejść pod nim, tryumfował bowiem, dowiódłszy niewinności kobiety, którą czcił za jej poświęcenie. Nagle spostrzegł Simankasa na zakręcie ulicy — postanowił się z nim rozmówić stanowczo i oświadczył mu w krótkich i energicznych wyrazach, że jego intrygi wyszły na jaw i że jeżeli chce uniknąć zemsty Crosonna, powinien zabrać swego przyjaciela Saint-Galueier i wyjechać jaknajdalej, choćby na drugie półkole. Simankas był jak na rozżarzonych węglach — widocznie spieszył się bardzo — przystał więc na wszystko czego żądał Nointel i pobiegł dalej. Kapitan zaintrygowany był tym pośpiechem — postanowił go śledzić, poszedł więc za nim i spostrzegł jak generał wszedł do domu, gdzie się odbywają licytacje.

Kapitan zatrzymał się przed drzwiami i począł czytać ogłoszenia na ścianach:

Sprzedaż wspaniałych mebli z powodu wyjazdu; sprzedaż brylantów, srebra, bielizny, należących do panny ***, artystki dramatycznej; sprzedaż żadkich i cennych obrazów, będących własnością pana Van K. słynnego amatora z Roterdamu.

Wszystko to przeczytawszy, Nointel niczego się nie dowiedział i dlatego postanowił wejść.

Musiał wiele sal przebyć i nie łatwo było w nich znaleźć generała Simankasa.

Szukając tu Simankasa kapitan, ku wiel-

kiemu zdziwieniu, zobaczył w sali tej Saint-Galuciera, który spostrzegłszy Nointela, rzucił się natychmiast do stołu i prosił, ażeby mu pokazano sprzedawany obraz, a gdy mu podano, podniósł go tak wysoko, że całą twarz zasłonił.

— Oho! — pomyślał Nointel — chowa się przedemną i zapewne myśli, że go nie widzę, kolegi jego, zdaje się, tu nie ma. Pójdę go szukać dalej, a jeżeli nie znajdę, powrócę tutaj i będę śledził tego kanadyjczyka. Wcześniej czy później zejdą się przecie z sobą. Teraz zaś udam, że go nie widzę.

Nointel chciał już pójść dalej, gdy w najdalszym kącie sali zobaczył Simankasa, który widocznie się schował. Podniósł kołnierz paltota, czapkę wcisnął na oczy, lecz nie odchodził i widocznie przyszedł ażeby co kupić.

Nagle przyszło kapitanowi na myśl nazwisko Vendarwelda. Zapewne rzeczy jego sprzedają z rozporządzenia sądu, chce więc kupić coś po przyjacielu, naturalnie nie dla pamiątki. Rozpoczęto licytację. Para szpad została sprzedana prawie za bezcen, ten sam los spotkał szkatułkę z pistoletami. Waliza poszła w ślady pistoletów, a Simankas wciąż milczał, chociaż waliza należała do Vendarwelda, bo były na niej litery A. V., a nad niemi korona hrabiowska. Wyniesiono ubranie. Buty myśliwskie prawie nowe, z długiemi cholewami, poszły za trzydzieści franków.

— Teraz, panowie, prześliczne futro, kołnież i rękawy sobolowe. Tysiąc franków — zawołał woźny.

— Tysiąc i jeden! — odezwał się głos Nointelowi znajomy.

— Naturalnie — pomyślał — futro Vendarwelda chce kupić. W tem się kryje tajemnica.

— Tysiąc i jeden — zawołał ktoś z tłumu.

— Tysiąc pięć — odezwał się stary żyd.

— Tysiąc dziesięć — odpowiedział Simankas.

— Tysiąc pietnaście.

— Tysiąc dwadzieścia.

Zaczęto się zapalać. Towar doszedł do niezwykłej ceny, dawano już za futro tysiąc pięćset dwadzieścia franków — Simankas milczał, ale postanowił nie dać się pobić.

— Tysiąc pięćset piędziesiąt — rzekł Nointel.

Głos ten sprawił wrażenie — najbardziej zdziwiony był Simankas, bo ani przez myśl mu nie przeszło, że kapitan jest tutaj. Simankas był blady, widocznie wzruszony. Kapitan postanowił nie ustąpić z placu.

— Dwa tysiące — zawołał generał.

— Dwa tysiące dwieście — odpowiedział Nointel.

— Dwa tysiące pięćset — krzyknął Simankas.

— Dwa tysiące siedmset.

Simankas bronił się zawzięcie. W tej chwili poczuł, że go ktoś ciągnie za rękaw. Odwrócił się rozłoszczony i zobaczył Saint-Galucier'a. Widocznie musiał mieć coś ważnego do powiedzenia, bo zaczęli żywo rozmawiać.

— Dwa tysięce dziewięćset — rzekł Nointel wcale nie głośno.

— No panowie, prędzej, wołał woźny dwa tysięcy dziewięćset, kto da więcej, po raz drugi i trzeci.

Simankas zajęty rozmową nie dosłyszał ostatniego wołania woźnego, to też aż pozielenia! ze złości, gdy się dowiedział o wyniku licytacji, a przyjaciel jego nie wyglądał lepiej. Nointel przeszedł obok, ani spojrzawszy na nich; co go teraz obchodzili, kiedy zabrał futro, tak był ucieszony, jakby odniósł zwycięztwo, lub zdobył szpadę na generale pruskim. Prędko wyszedł z pokoju, chciał jaknajspieszniej powrócić do siebie i zbadać tajemnicę.

Lokaj Nointela wielce się zdziwił, zobaczywszy swego pana, dźwigającego ogromną algierkę, ale zdumienie jego bardziej się jeszcze wzmogło, gdy się pan doń odezwał.

— Przynieś mi nożyczki i wyjdź. Nie jesteś mi potrzebny.

W dwie minuty później Nointel, zamknąwszy się w swym gabinecie, już rozprówał futro. Wywracał kieszenie, skubał podszewkę i wreszcie upewnił się, że papiery schowane są w kołnierzu.

Jął go ostrożnie rozpruwać i mozoły jego nie były daremne.

Z początku wyciągnął paczkę zatłuszczonych papierów, pisanych przeważnie po hiszpańsku, kapitan jednak o tyle znał język ten, że mógł ich treść zrozumieć.

Jeden z nich był wyrokiem trybunału wyższego w Limie, który skazywał na galery niejakiego José'y Simankasa, zbiega i rozbójnika.

Drugi, kawałek gazety z Quebecku opiewał w kilkunastu wierszach druku, że powien Camchard, podający się za Saint-Galuciera i oskarzony o oszustwo, skazany został na dziesięć miesięcy wieży.

Pruł dalej i znalazł kopertę bez adresu.

Koperta zżółkła od długiego leżenia w kołnierzu. Były w niej trzy listy. Kapitan wyraźnie rozróżnił, że charaktery pisma wszystkie były między sobą odmienne, ale wszystkie kobiece.

— Otóż i tajemnica!... — wyrzekł kapitan — wiedziałem, pewny też byłem, że Vendarwelde musiał gdzieś schować próbkę charakteru pisma i stylu swoich kochanek i nie wszystkie powierzył Julii. (D. n.)

Nadesłane.

Niska cena uczyniła je przystępnemi dla wszystkich i tej okoliczności zawdzięczają swoją dzisiejszą wziętość, jako domowy środek leczniczy przy przeszkodach w trawieniu i spożywaniu. Można je otrzymać w pudełkach po 70 ct. w aptekach, należy jednak zawsze uważać na podpis **R. Brandta** oraz na biały krzyż w czerwonem polu.

Przestrze ga się szczególniej przed fałszywemi pigułkami szwajcarskiemi w Austrji, często się pojawiającemi; nierozważni kupcy sami sobie przypiszą powstałą stąd szkodę.

(4156-13-7)

Zwracamy uwagę na ogłoszenie domu bankierskiego VALENTINA et COMP. w Hamburgu o loterji hamburgskiej pieniężnej, gdyż jest to jedyna firma która pod każdym względem zasługuje na zaufanie publiczne.

Leży w interesie publiczności próbować szczęścia, które u tej firmy nigdy nie zawodzi.

Odpowiedzialny za redakcję i wydawnictwo Fr. Ks. Kowaliszyn. Z Drukarni „Dziennika Polskiego" pod zarządem J. Mittiga.